



O powstawaniu gatunków

Kiedy młody przyrodnik rozpoczyna studia nad jakąś zupełnie mu nieznaną grupą organizmów, to z początku wielki kłopot sprawia mu pytanie, jakie różnice uważać za gatunkowe, a jakie za odmianowe [...] nie zna on wcale zakresu i rodzaju zmian, którym podlega dana grupa.*

W 1899 roku potrafiliśmy już sobie radzić z ciemnością, ale z teksańskimi upałami — jeszcze nie. Wstawaliśmy po ciemku, wiele godzin przed świtem, kiedy na wschodnim niebie rysowała się wąziutka smuga błękitu, a pozostała część horyzontu nadal była czarna jak smoła. Każdy zapalał lampę naftową i niósł ją przed sobą niczym małe, blade słońce. Do południa, kiedy piekielny skwar zgaśniał wszystkich z pola, musieliśmy zrobić tyle, ile normalnie robi się przez cały dzień. Potem wracaliśmy do domu, w którym pozamykano wszystkie okiennice, i ociekając potem, zalegaliśmy w pokojach o wysokich sufitach. Mama próbowała odświeżyć powietrze, spryskując nam prześcieradła wodą kolońską, ale działało to tylko przez chwilę. O trzeciej po południu, kiedy trzeba było wstać, temperatura wciąż była zabójcza.

* Wszystkie cytaty przed rozdziałami pochodzą z: Karol Darwin, *O powstawaniu gatunków*, tłum. Szymon Dickstein i Józef Nusbaum, De Agostini i Ediciones Altaya Polska, Warszawa 2001 (wszystkie przypisy pochodzą od redakcji).

Upał doskwierał wszystkim mieszkańcom Fentress, ale to kobiety, ubrane w halki i gorsety, cierpiały najbardziej (te tortury, przeznczone wyłącznie dla płci pięknej, jeszcze mnie omijały, bo byłam za młoda). Panie luzowały gorsety, ciężko wzdychały, przeczekiwały najgorszy upał i gorąco przeklinały mężów, że przywlekli je ze sobą tu, do hrabstwa Caldwell, by poświęcić się uprawie bawełny i pekanów. Mama na jakiś czas zrezygnowała ze stałych elementów fryzury — podwiniętej sztucznej grzywki i wykonanego z końskiego włosia wypełniacza w kształcie rogala, na którym codziennie upinała misterną konstrukcję z własnych włosów. W takie dni, o ile oczywiście nie mieliśmy gości, zdarzało się nawet, że podstawiała głowę pod kuchenną pompę i kazała Violi, naszej kucharce, w jednej czwartej Murzynce, pompować, aż była do cna przemoczona i ociekająca. Mieliśmy stanowczy zakaz wyśmiewania się z tego nieprawdopodobnego widowiska. Kiedy upał zmuszał mamę do stopniowej rezygnacji z dostojności, nauczyliśmy się (tata również), że najlepiej schodzić jej z drogi.

Nazywam się Calpurnia Virginia Tate, ale w owych czasach wszyscy mówili na mnie Callie Vee. Tamtego lata miałam jedenaście lat i byłam jedyną dziewczynką spośród siedmiorga rodzeństwa. Potraficie sobie wyobrazić coś gorszego? Urodziłam się pośrodku między trzema starszymi braćmi — Harrym, Samem Houstonem i Lamarem, a trzema młodszymi — Travisem, Sulem Rossem i najmłodszym, Jimem Bowie, na którego mówiliśmy J.B. Młodszym chłopcom wciąż zdarzało się zasnąć w dzień. Czasem kładli się razem, tworząc bezładny, splełany stos jak wilgotne, parujące szczeniaki. Robotnicy, którzy przychodzili z pola, oraz mój tata, wracający z biura plantacji, też się kładli. Najpierw polewali się letnią wodą z cynowych wiader przygotowanych na werandzie, a potem padali pokotem na wyplatane łóżka.

To prawda, upał był straszny, ale zarazem przynosił mi wolność. Podczas gdy reszta rodziny przewracała się niespokojnie z boku na bok i próbowała drzemać, ja potajemnie wymykałam się nad rzekę San Marcos i rozkoszowałam chwilą wytchnienia od szkoły, dokuczliwych braci i nakazów mamy. Nie pytałam wprawdzie o pozwolenie, ale też nikt mi tego nie zakazał. Udawało mi się, ponieważ jako jedyna dziewczyna w rodzinie miałam własny pokój na samym końcu korytarza, a moi bracia, którzy nie potrafiliby utrzymać języka za zębami, mieszkali wszyscy razem. Szczerze mówiąc, żadna inna zaleta bycia jedyną siostrą nie przychodziła mi do głowy.

Dom oddzielała od rzeki spora, dziko zarośnięta działka w kształcie półksiężyca. Przedarcie się przez nią byłoby niewykonalnym koszmarem, gdyby nie to, że stali bywalcy tych terenów — psy, jelenie i moi bracia — wydeptali wąską ścieżkę wśród zdradliwych, kolczastych krzaków, sięgających mi czubka głowy i czepiających się włosów i fartuszka, mimo że wciągałam brzuch i przesmykiwałam się bokiem. Kiedy docierałam nad rzekę, zdejmowałam sukienkę i kładłam się na plecach na wodzie. Oblewał mnie miły chłód, a cienka koszulka, niesiona delikatnym prądem, wydymała się wokół mnie niczym balon. Byłam białą plamą, łagodnie kręcącą się na wirach. Patrzyłam w górę, na zwiewne, przypominające pajęczyny gniazda oprzędnic jesiennych, zawieszane w dorodnych koronach nachylonych ku wodzie dębów. Zdawało mi się, że te wykonane z przejrzystej gazy balony, kołyszące się na tle bladoturkusowego nieba, są moim odbiciem.

Tego lata wszyscy mężczyźni prócz mojego dziadka Waltera Tate'a ostrzygli się na króciutko i zgolili gęste brody i wąsy. Przez kilka pierwszych dni, dopóki nie minął szok, jaki każdorazowo wywoływał widok bladej, delikatnej skóry ich policzków i podbródków, wydawali

się goli i bezbronni jak ślepe salamandry. Dziadkowi, co dziwne, upał nie przeszkadzał, mimo że na jego pierś zwieszała się bujna, siwa broda. Tłumaczył to tym, że w życiu kieruje się umiarem, porządkiem i żelazną zasadą, by przed południem nie tykać whisky. Jego nieładnie pachnący stary żakiet* z ogonem jak u jaskółki już wtedy był wyświechtany, ale dziadek nawet nie chciał słyszeć o nowym. Mimo że nasza służąca SanJuanna regularnie przecierała materiał gąbką zamoczoną w benzenie, okrycie wciąż śmierdziało stęchlizną i miało dziwny kolor, ni to czarny, ni zielony.

Dziadek, choć mieszkał razem z nami, był postacią cokolwiek tajemniczą. Już dawno przekazał rodzinny interes jednemu synowi, czyli mojemu tacie, Alfredowi Tate'owi, a teraz spędzał całe dnie na „eksperymentach” w znajdującym się na tyłach domu „laboratorium”. Była to po prostu stara szopa, w której niegdyś mieściły się kwatery niewolników. Jeżeli dziadek akurat nie przebywał w laboratorium, to albo chodził po okolicy i zbierał okazy, albo siedział w mroku biblioteki, gdzie nikt nie śmiał mu przeszkadzać, pogrążony w lekturze jednej ze swych rozsypujących się książek.

Spytałam mamę, czy też mogłabym obciąć włosy, gęste i długie, sięgające prawie do końca pleców, bo było mi w nich strasznie gorąco. Nie, powiedziała, nie będziesz mi tu latać ostrzyżona jak dzikus. Uznałam, że to rażąca niesprawiedliwość, nie wspominając już o upale. Wymyśliłam więc taki plan: jeżeli co tydzień podetnę włosy o cal** — jeden malutki cal — to mama nic nie zauważy. Nie zauważy, ponieważ

* Żakiet — popularny kiedyś rodzaj marynarki o długich połach z tyłu, współcześnie męski strój na eleganckie okazje. Nie mylić z frakiem.

** Cal — jednostka długości równa 2,54 centymetra, używana między innymi w Stanach Zjednoczonych i Wielkiej Brytanii.

jednocześnie będę się kamuflować doskonałymi manierami. Odkryłam bowiem, że kiedy zachowuję się jak dobrze wychowana panienka, często udaje mi się zwieść jej czujność. Mamę zwykle pochłaniały dwie rzeczy — niekończące się sprawy związane z prowadzeniem domu oraz nieustanny harmider, wywoływany przez moich braci. To niewiarogodne, ile hałasu i zamieszania potrafi wzbudzić sześciu chłopców. No i w czasie upałów nasilały się jej migreny, często więc musiała się uciekać do Toniku Roślinnego firmy Lydia Pinkham, powszechnie znanego jako Najlepszy Środek Oczyszczający Krew dla Kobiet.

Tego samego dnia wieczorem wzięłam nożyczki z koszyka na robótki i przejęta, z walącym sercem odciąłem pierwszy cal włosów. Spojrzałam na miękki pęczek, który został mi w dłoni. Oto wychodziłam naprzeciw przyszłości, rozpościerającej się przede mną w świetlanym Nowym Stuleciu, od którego dzieliło nas już tylko kilka miesięcy. To była wiekopomna chwila. W nocy źle spałam w obawie przed porankiem.

Następnego dnia zeszłam na śniadanie na wstrzymanym oddechu. Owsiane batoniki z orzechami pekana smakowały jak tektura. I wiecie, co się stało? Nic, zupełnie nic. No właśnie, otóż to, to typowe dla tej rodziny. Nikt nic nie zauważył przez cztery tygodnie i cztery całe, aż w końcu Viola, nasza kucharka, pewnego ranka rzuciła mi ostrzegawcze spojrzenie. Ale nie szepnęła ani słowa.

Było tak gorąco, że po raz pierwszy w historii mama przestała zapalać świece na żyrandolu do kolacji. Przez dwa tygodnie ja i Harry nie mieliśmy też lekcji pianina, co mi zresztą w pełni odpowiadało. Harry'emu tak pociły się dłonie, że gdy ćwiczył *Menueta G-dur*, na klawiszach, w które uderzał, zostawały brudne ślady, i mimo że mama i SanJuanna próbowały wszelkich sposobów, nie udało im się

przywrócić kości słoniowej dawnego blasku. Poza tym nasza nauczycielka panna Brown była już wiekowa i przyjeżdżała do nas z odległego o trzy mile* Prairie Lea dwukółką, zaprzęzoną w zniedołężniałą kobyłę. Jeszcze obie dostałyby udaru i padły gdzieś po drodze, więc lepiej było nie ryzykować. Uważałam, że to wcale niegłupi pomysł.

Ojciec na wieść, że przepadnie nam parę lekcji, powiedział:

— Nie mam nic przeciwko. Chłopakowi potrzebna gra na pianinie jak dziura w moście.

Mama nawet słyszeć o tym nie chciała. Pragnęła, by siedemnastoletni Harry, jej pierworodny, został prawdziwym dżentelmenem, a po skończeniu osiemnastu lat wstąpił na uniwersytet w Austin, pięćdziesiąt mil od domu. Z tego, co pisali w gazecie, uczyło się tam pięćset studentów, w tym siedemnaście pilnie strzeżonych młodych dam, pobierających naukę w Szkole Sztuk Wyzwolonych (mogły wybierać spośród trzech przedmiotów: muzyki, angielskiego i łaciny). Plan ojca był zupełnie inny. Tato chciał, by Harry został przedsiębiorcą, w przyszłości zarządzał plantacją oraz uprawą pekanów, a także wstąpił do Wolnych Masonów jak on sam. Nie sądził jednak, by lekcje pianina szkodziły mu — o ile w ogóle kiedykolwiek się nad tym zastanawiał.

Pod koniec czerwca w naszej lokalnej gazecie „Fentress Indicator” napisali, że temperatura przed budynkiem redakcji, na środku ulicy, wyniosła 106 stopni Fahrenheita**. O temperaturze w cieniu nie wspomniano. Zastanawiałam się czemu, ponieważ absolutnie nikt przy zdrowych zmysłach ani przez sekundę nie stoi na słońcu, no chyba że musi przeskoczyć do następnego cienia, rzucanego przez drze-

* Mila — jednostka długości równa 1,6 kilometra. 3 mile to niecałe 5 kilometrów.

** Skala Fahrenheita — jedna ze skal pomiaru temperatury, do dziś stosowana w Stanach Zjednoczonych. 106 stopni Fahrenheita to 41 stopni Celsjusza.

wo po drugiej stronie ulicy, stodołę czy choćby konia ciągnącego pług. Wydawało mi się, że mieszkańcom naszego miasteczka znacznie bardziej przydałaby się informacja o temperaturze w cieniu. Napisałam więc w tej sprawie wyjątkowo staranny List do Redakcji, który, ku memu zdumieniu, wydrukowano w kolejnym wydaniu gazety. Od tego czasu zaczęto również publikować temperaturę w cieniu. Informacja, że jest zaledwie 98, a nie 106 stopni Fahrenheita, nie wiedzieć czemu — ale jednak — sprawiała, że wszystkim było odrobinę chłodniej.

Bardzo ożywiły się owady, zarówno w domu, jak i na dworze. Koniki polne całymi stadami uskakiwały sprzed końskich kopyt. Świetliki pokazywały się tak licznie, że nikt nie pamiętał równie widowiskowego lata. Co wieczór siadaliśmy z braćmi na werandzie od frontu i urządzaliśmy konkurs, kto pierwszy wypatrzy świętojańskiego robaczka. Nie dość, że mieliśmy przy tym mnóstwo uciechy, to ze zwycięstwem wiązał się spory zaszczyt — mama znalazła w koszyku z szyciem kawałek niebieskiego jedwabiu, wycięła z niego piękny medal, zawiesiła go na długiej wstążce i między kolejnymi napadami migreny wyhaftowała na nim złotą nicią: „Konkurs Świetlikowy w Fentress”. Nagroda była elegancka i niezwykle pożądana. Zwycięzca mógł ją nosić przez cały następny dzień, aż do wieczora.

Kuchnię w niespotykanych dotąd ilościach obległy mrówki. W wojskowym szyku wmaszerowywały przez najmniejsze szczeliny między deskami w podłodze lub pod oknem i kierowały się wprost do zlewu. Były zdesperowane i niepowstrzymane. Viola wydała im wojnę, lecz nie odniosła większego sukcesu. Jeśli chodzi o świetliki, to mówiło się o ich obfitości, a jeśli chodzi o mrówki — o pladze. Wtedy pierwszy raz przyszło mi do głowy pytanie — dlaczego? Skąd to rozróżnienie? I jedno, i drugie były przecież stworzeniami, które tak jak my próbują